



20

(Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

Obeenie, wracają z Solca, gdzie w równie ob- skurnym szynku dała im rendez-vous Ciupaga.

Krótko, lecz jasno i zrozumiale, przedstawiła obojgu swoje plany. Dobrana para uznała je za wyborne, oświadczając, że chętnie opuści stolicę, żeby z kabalarką udać się na prowincję.

Doprowadzenie jednak zamiaru do skutku, po- łączone było z pewnemi trudnościami. Przede- wszystkim trzeba było kupić zdrowego, silnego i rosnącego konia; nadto wyrestaurować i pomalować na nowo czterokołową budę Ciupagi; na takie zaś dwa wydatki, ani ona, ani Czupiradło nie mieli pieniędzy; żeby im stawić czoło, należało koniecznie, choćby Bóg wie z kąd, wytrzasnąć przynajmniej sto rubli — a tu, jakby na złość, kieszeń pierwszej i drugiego były zupełnie puste.

To też Czupiradło, sącząc piwo z kufelka, roz- myśla znowu o pałacu Jelskich, i po namyśle z za- miaru swego Złotej-Rączce się zwierza.

— Tak, tak — przytwardza baba — chyba w istocie tego ostatecznego środka chwycić się musimy.

— Dziś jeszcze... w nocy...

— Masz rację... dzisiejszej nocy...

— W pałacu nikt nie mieszka, a skarbów w nim, co nie miara. Trzeba wziąć z sobą ręczny wózek. Napakujemy go różnościami, dywanami, bronzami, srebrami stołowymi... Słowem, co tylko da się szybko zabrać! Można będzie juchcie śmiało i bez obawy, bo to cyrkuł, w którym mieszkają sami wielcy panowie, więc stojkowych nie kręci się tam wielu... a już co nad ranem, to zawsze niema żadnego. Rózię i Janka postawimy na straży przed bramą, a my, we dwoje, wsuniem się do środka, żeby robotę jak najrychlej załatwić.

— Nie, nie... do środka nie wejść. Wolę stać i pilnować na ulicy. Do wnętrza weźmiesz ze sobą podrzutka... Grazielli zaś z budy wyciągać nie wypada, niech biedactwo wyśpi się spokojnie...

— Czemu nie ma iść z nami u licha?

— Jeśli kraść nie chce, nie należy jej do kra- dzieży przymuszać... To dziecko delikatne... Gotowa zrobić to samo, co Pietrek i pewnego poranka drapnąć nam niespodzianie.

— Oj, te mikrasy. W rzeczy samej, żadne w nas się nie wdało. Powiedz kobieto, skąd się w nich taka cnota bierze?

— Podobne do mojej matki... Czy ją pamię- tasz?... a dworek nasz z ganeczkiem, ocieniony gałęziami dzikiego wina?... Jak tam było ślicznie, o Boże!... Za dworkiem sad śliwkowy... a niżej łąka... taka zielona! pełna rozlicznego kwiecia!... Czy pamiętasz?

— Jakże nie miałbym pamiętać!... Ileż to razy, gdyśmy byli dziećmi, bawiliśmy się przed nim w kurzu, na szerokim gościńcu, prowadzącym do miasta... Lecz to takie oddalone i głupie czasy, że lepiej o nich nie wspominać... Każde z nas z osobna, po porzuceniu stron rodzinnych przeżyło tyle... tyle się nacierpiało i naponiewierało w pośród ludzi, że niemądrze byłoby żałować tego, cośmy własnymi zdeptali nogami. O, przeszłość!... Żal myśleć o niej... Ha! ha! przesąd... śmieszny przesąd!

Jednym tchem wypróżnił kufel do dna.

Złota-Rączka westchnęła głęboko.

— A jednak... a jednak!

Po chwili ciągnęła dalej:

— Piotruś mi matkę przypomina... W żyłach jego płynie jej krew uczciwa... Gdy my... och Boże!

— Geś jesteś! Po co się rozczulasz?

— Pietrek uciekł... i nie wróci więcej. Tęsknię za nim... Graziella jedna nam pozostała, lecz jeśli chcesz by nas nie opuściła, nie powinniśmy jej mieszać z naszymi brudnymi sprawami. Niech sobie śpi spokojnie w budzie. Mamy przecie pod- rzutka, zabierziesz go z sobą do pomocy...

— Przyrzekłem Ciupadze, że dostarczę jej jutro pieniędzy na kupno konia, więc tej jeszcze nocy mieć je muszę...

— No, no... nie martw się, pojedziem rabować... do Jelskich pałacu...

— O, rabować!... Zjuchcę parę kawałków; tyle tylko, ile nam koniecznie potrzeba...

— Każ dać sznapsa... mocnego! Na kuraż, trzeba łyknąć kilka kieliszków... i... i żeby, żeby zapom- nieć... Ja widzisz, jeśli mam przydać się na co, muszę być pijana...

Czupiradło wstał od stołu, przeszedł do pierw- szej izby z szynkfasem — i po chwili powrócił z butelką araku.

— To nam odwagi doda — rzekł napełniając kieliszki.

W godzinę potem, godna para, zataczając się i potykając co moment, wysunęła się z szynku na ulicę.

Noc była mroźna, wietrzna, ale pogodna. Księ- życ płynął po ciemnym szafirze, gdzie niegdzie le- dwie splamionym szaro-popielatym obłokiem.

— Noc jasna, noc głupia! — szepnął Czupira- dło, wznosząc w górę krwią nabiegłe oczy.

— To możebyśmy nasz interes na inną odło- żyli?

— Nie podobna! Przyrzekłem Ciupadze pie- niądze...

Na progu budy stała Rózia, okryta chustką wełnianą.

— Czy masz jeszcze nadzieję, że Piotruś po- wróci? — spytała Złota-Rączka.

— O, nie. Czekam na Janka.

— Niema go w domu?

— Już dość dawno, jak poszedł, z figurkami na głowie.

— No, no! co za dziwo. zaśniad bierze się do roboty!

W pewnej odległości od budy rozległ się w tej chwili piskliwy głosik, wołający:

*Belle... belle figurine!*

— Ot i Kwiat-Nędzy! Musiał coś sprzedać bo śpiewa.

W rzeczy samej chłopak wracał z pustą deską i kieszeniami wypchanymi grubą monetą miedzianą. Sprzedał wszystko. Oczy jego błyszczały radością, wiedział bowiem, że sukcesem swoim Graziellkę ucieszy.

— Widzisz!... Cały towar w kurs puściłem... lecz nie bez trudu! Nie bacząc na głód i chłód, musiałem się nabiegać niemało, żeby sprzedać co do jednej figurki. Ba!... ale chciałem koniecznie przynieść ci dużo pieniędzy.

Nie widział nikogo prócz Rózi, która powitaw- szy go serdecznie, podała mu szklanek gorącego mleka. Uwarzyła je umyślnie dla niego.

— Zadowolony jestem z ciebie — rzekł Czu- piradło. Podobasz mi się. Jeśli tak będziesz po- stępować dalej, zastąpisz nam Piotrusia... tego ło- buza bez serca, który rodziców swoich porzucił. Lepszy jesteś od niego... o! lepsz... bo, domyślam się, że pamiętasz, cośmy dla ciebie uczynili. Bez nas dawno już zdechłbyś gdzie z głodu na ulicy!... Wszyscy, ile nas jest, dbamy o naszego Kwiatuszka... i dbać zawsze będziemy. Graziella ugotowała ci mleka... i dobrze zrobiła. To się jej chwali. Wypijże czempredzej, bo pójdziesz z nami.

Chłopak zadrżał całym ciałem.

— Nie trząś się tak bardzo chłopaczku — po- wiedziała Złota-Rączka, głaszcząc go po twarzy — nic złego ci się nie stanie. Przecież tylko samego dobra wszyscy ci życzymy. Jeśli usłużysz nam jak należy, uważać ci będziemy, jakby za naszego drugiego, rodzzonego syna. W tym tygodniu jeszcze mamy opuścić Warszawę. Ruszymy w świat piękny i szeroki, w wozie zamkniętym, ciepłym, podobnym do karety... nie, raczej do tramwajowego wagonu... Ciągnąć go będzie dzielny, zwawy koń... bijący podkutymi kopytami o ziemię: taf, taf, taf, ta!...

Wyberzemy się wszyscy razem. Ty z nami... Zo- baczysz jacy będziemy szczęśliwi!

To mówiąc najpieszczotliwszym tonem, wycią- gała powoli oszołomionego chłopaka przed dom na ulicę, gdzie już czekał na nich Czupiradło z wy- pożyczonym od sąsiadów wózek.

— Chwyc Kwiatku za dyszel i ciągnij; ja z tyłu popychać będę, a Czupiradło, idąc przodem, wskazywać nam będzie drogę.

Janek waha się momencik, lecz Czupiradło krzyczy na niego:

— Prędeż, mikrus! jazda! Szkoda drogiego czasu.

I chłopiec ciągnie wózek, ile mu sił starczy, lecz po jakimś czasie zadyszał się i ustaje.

— Czy się ty ruszysz próżniaku? — woła Złota-Rączka.

— Dokądże mi tak iść każecie? — jęknął Kwiat-Nędzy.

— Tam, gdzie Pietrek pójść odmówił — odpo- wiada Czupiradło tonem szyderczym.

Janek zrozumiał — i ruszyć z miejsca nie chce. Lecz nędznik przyskoczył do chłopaka, wydobyl nóż składany z zanadru, otworzył go i ostrzem błyszczącym mignął mu przed oczami.

— Jeśli nie pójdziesz, zabiję cię jak psa. Czy rozumiesz?

Kwiat-Nędzy cofnął się w tył przerażony. Wtem baba chwyciła go za ramiona, wsadziła mu dyszel w rękę, szarpnęła nim nagle naprzód — i dzieciak idzie znowu, ciągnąc za sobą wózek.

Druga wybiła, gdy Czupiradło, Złota-Rączka i Janek, stanęli nareszcie przed zewnętrzną kratą pałacyku Jelskich.

— Przełaż przez kratę! — szepnął pijak, pod- nosząc już nie opierającego się chłopca w górę. Ja za tobą.

Kwiat-Nędzy, jakby zahipnotyzowany i pozba- wiony wszelkiej woli, zeskoczył do ogródka, cią- gnącego się przed pałacem, wzdłuż Alei. Po chwili, znalazł się przy nim Czupiradło.

Bezwzględna cisza panowała wokoło, a niebo granatowe iskrzyło się gwiazdami.

Złota-Rączka, stojąca na straży przed kratą, spoglądała bacznie na prawo i lewo.

Pijak ukląkł i zmusił chłopca do przykleknienia także na śliskiej powłoce zmarzniętego i ubitego śniegu. Poczem, pochylając go przed sobą, czołgał się na czworakach ostrożnie aż do tylnych drzwi, wychodzących na ogród, mrużąc cicho pod nosem:

— Wszystko dobrze! Wydostaniemy się stąd za kilkanaście minut... i będziemy bogaci, bardzo bogaci. Słyszysz! To, co się tam znajduje, nie na- leży do nikogo, możemy więc zagarnąć, co się nam spodoba. Nie trząś się... i nie sap, bo cię tam zamknę i zamkniętego na pastwę złym duchom pozostawię.

Wydobyl z kieszeni pęk wytrychów. Jednym z nich drzwi otworzył.

— No, jesteście nareszcie u celu. Uważaj! Sta- paj, jak ja, na palcach, cichuteńko... Nie obawiaj się, tu niema nikogo, a w Alejach pilnuje Złota- Rączka. W razie niebezpieczeństwa gwizdnie, a my zaraz w nogi! Zanim to jednak nastąpi, możemy juchcie swobodnie.

Dzieciak nie odpowiada. Przez gardło jego, zdławione oburzeniem i grozą, przedrzeć się nie może ani jedno słówko. Drży i milczy.

Czupiradło wlecze go za sobą z pokoju do po- koju. Odgłos ich kroków głucho kobierce, rozpostarte na posadzkach od ściany do ściany. Panująca tu głęboka cisza, przejmuje ich jednak mimowolną trwogą, a na czołach obu pot chłodny perli się gęstymi kroplami. Czupiradło nie kradł z włama- niem nigdy jeszcze w życiu, więc zabiera się do dzieła niezgrabnie i z lękiem, pokonywanym przez chciwość, rozsadzającą mu piersi.